ROMANS i POWIEŚĆ

Rok XIV. Warszawa, dnia 29 lipca 1922 roku. № 30

Juljusz German. Powieść.

30) TWARZ Z ZA KURTYNY.

Światło lamp samochodu zanurzyło się rozpylonym snopem promieni w mrok ulic. Przygłuszony, gładki poświst kół. Raz w raz jak ryk z gardzieli olbrzyma, walczącego z upiorem przestrzeni, urwany wrzask tuby, niecierpliwem, nagłem ostrzeżeniem groźny.

Sylwety domów i murów zamarłe, niby równo ścięte wręby jarów ogromnych.

— Wąwóz skalisty — śni się Broniczowi majak zbłąkany,—urwiska koło Pontebby i na dnie perłowo srebrny rzut potoku...

Miniaturowy obrazek z tła ciemności błyśnięciem się wycina: Lili w głębi loży, odświętnie czarująca, z twarzą jak pozdrowienie z oddali.

A ta dal, nad dotykalną rzeczywistość wyniosła, innej, najprawdziwszej rzeczywistości niesie zapowiedź gwiaździstą, biegną z niej nici upewnień o czemś skrytem za mgłą lodowej bojaźni, a cudniejszem, niż słońce.

— Lili, istnienie najdroższe — pomyślał.

I w tym samym momencie ostro czujna pamięć przywiodła mu przed oczy ową wizję senną z przed tygodni, przeraźliwie wyraźną, w której widział czerwone mury fortów wśród śniegu tającego czarnemi płatami, w oparach świtu oddział żołnierzy gotujących do strzału karabiny, słup wbity w zwał rozkopanych grud ziemnych, pod słupem kogoś... postać niedojrzaną już dobrze... tylko błysk najbledszego złota...

Bezpośrednio po myśli o Lili zjawiła się ta wizja i taksamo teraz jej przypomnienie.

Wzdrygnął się w skurczu głuchego gniewu na ten związek, poza granicami jego świadomości i woli spleciony.

Kto zesłał mu wołającym znakiem tę wizję, która wyprzedza spełnienie faktu, urąga żelaznej kolejności zdarzeń i pojęciu czasu, odmierzonemu niezmiennie?

Kto śmie łączyć w jego myślach najplugawszy stwór ludzki z najbielszym kwiatem tęsknoty, co wyrósł w tajni niepokoju?

— Zawrócić? Cofnąć się w krąg wygodnie znany? — podszept chęci ospałej, usłużnej.

Wzniósł głowę stanowczym ruchem.

— Nie uciekałem jeszcze przed żadnem żywem istnieniem...

I za pajęczą mgłą znużenia ukryty, znowu przylgnął mu do ust uśmiech życzliwie miły, z którym zwracał się do każdego.

Rozszerzyła się cieśń ulicznych skrętów, pełniejszym powiewem roztoczył się wiatr od Wisły.

Migotliwe ogniki zamrugały rzadkiemi lśnieniami w czarnej masie budynków, jakby pociętych na przysadziste, kwadratowe bryły.

Ciszę rozdziera przeciągły, jękliwy gwizd lokomotywy i monotonny łomot wagonów, rytmicznym szczękiem ciężko zadyszany, coraz słabszem, coraz przytłumionem kołataniem ginący w oddaleniu.

— Stój — zrywa się z mroku bacznie sprężony głos żołnierski. W seledynowo białej smudze blasków, padających na drogę przed samochodem, zjeżył się połysk bagnetu i stanęła jak słup ciemna postać.

Bronicz wysiadł. Upłynęła spora chwila, nim opowiedział się posterunkom wojskowym, nim dotarł do służbowego oficera, który przeczytawszy urzędowe pismo i przyglądnąwszy się z wszystkich stron nocnemu przybyszowi, poruczył go, ziewając, opiece jakiegoś kaprala. Ten prowadził Ryszarda dość niechętnie i pomiukując pod nosem przez różne podwórza, brukowane i piaszczysto obmarzłe uliczki wśród fortów, pagórkowate zwyża i spadziste przejścia, patrząc z nieukrywanem zadowoleniem, jak wytwornie ubrany cywilny pan wpadał czasem eleganckiemi trzewikami w pół przyschnięte bajory. Po półgodzinnej wędrówce doszli do półkolisto zbudowanych murów, nakrytych brudnosiną czapicą ze śniegu. Kapral podszedł do potężnej bramy z płyt pancernych, szarpnął za dzwonek. W żelaznych wrotach osunęła się ze zgrzytem w dół niewielka klapa. Ukazało się w niej okrągłe, nie budzące grozy, raczej poczciwe oblicze jakby klasztornego furtjana, okręcone w przewiązaną na czapce wełnianą chustę.

— Co jest?—zaskrzeczał gruby głos.

— Z rozkazu dowódcy warty przywiodłem tego pana. Ma tam jakąś kartkę ze sądu czy skądś — burknął kapral opryskliwie. Zwrócił się w tył w szorstkim półobrocie i surowo wyprostowany odmaszerował.

— Od pana prokuratora — rzekł Bronicz.

— Wiem, wiem — zachrypiał łaskawiej bas klucznika...—Dali mi znać z kancelarji, że pan ma przyjść... Tylko niebardzo się pan spieszył... Sam pan inspektor czeka...

Chrobowaty, rdzawy skrzyp otwieranych zamków i łańcuchów. Wyszczerzyła się w głębi jama długiego, sklepionego korytarza, ziejąca stęchłą wilgocią... Gdzieś z boku zjawił się inny strażnik więzienny. Zasalutował służbiście, wskazując Broniczowi drogę. Kamienne schodki w górę, znowu korytarzyk, ciaśniejszy, bardziej przytulnie oświetlony. W jednej z jego framug uchyliły się drzwi. Wyjrzał z nich szpakowaty brunet z energiczną, przystojną twarzą, której marsowy wygląd łagodził się otwartem, szczerem wejrzeniem piwnych oczu.

— To pan! Prokurator uprzedził mnie telefonem... Naczelnik więzienia poszedł już do swego mieszkania.

Miło mi powitać pana w jego zastępstwie. Może pan spocznie chwilę? Nie tak łatwo tu do nas się dostać po nocy?

Zapraszał uprzejmym ruchem na lśniącą ceratową kanapę, sztywną i gładko czystą, jak całe urządzenie biura. Żywszą plamą nieśmiało świeciły postawione na zakratowanem oknie doniczki cyklamenów, wysuwających z gęstwy owalnych, szarozielonych listków drobne kielichy delikatnych, bladofiołkowych kwiateczków, jak uśmiech naiwnie ufny, nikomu niepotrzebny, ale uśmiech...

— Dziękuję panu. Nie miałem przeszkód. Panowie wojskowi nie przesadzali wprawdzie w grzeczności...

— A, to wieczne dąsy, że w ich rejonie nasze cywilne więzienie. No, i wielu oburza się, że do egzekucji używa się żołnierzy. Takie tam z książek rycerskie sentymenty. A właśnie to szkoła dla nich. Niech stwardnieje jak żelazo chłop jeden z drugim i wie, że nie od parady chodzi z karabinem. I to jeszcze w tych czasach...

Podkręcił nastroszonego bujnie wąsa.

— Więc do skazanej? Że się panu na tę jej jakąś prośbę chciało... Chociaż rozumiem, ciekawość, niezwykły widok... Wielcy panowie to lubią. Dla mnie to nie pierwszyzna, siedzi w tem człowiek ciągle, otrzaskał się już na wskroś, napatrzył zresztą w Rosji podczas przewrotu takich rzeczy, że to dziecinne igraszki... Tyle, że ona dosyć sobie młoda. Ale ta jej młodość gorsza niż strupieszała starość. Aż lżej oddychać, że sprzątnie się ze świata jak śmieć tę... nie wiem już, jak nazwać bestję... I najmniejszej odrobiny litości dla niej szkoda. Pan się nie pogniewa, — powiedział, zaglądając jasnym wzrokiem w oczy Bronicza — gdy zapytam, czy pan nie ma przy sobie trucizny albo broni? Regulamin nakazuje...

— Ach, żeby sprawiedliwości nie spłatać figla, nie uprzedzić spełnienia wyroku? Gdyby mnie pan znał, wyśmiałby się pan ze swego podejrzenia. Pan jest dzielnym urzędnikiem, panie inspektorze. Zrobi mi pan prawdziwą przyjemność, gdy mnie pan dokładnie zrewiduje. Rewolwer noszę stale, z przyzwyczajenia od lat. Oto jest.

Inspektor schował go z ukłonem, pokiwał z uznaniem głową.

— Pan daruje. We wszystkiem jak najchętniej pójdę na rękę, ale rygorysta ze mnie, pilnuję przepisów. Porządek musi być, bo inaczej wszyscy djabli nas wezmą. Teraz jestem do pańskich usług. O to pismo poproszę. Doskonale. Pan prokurator nie ograniczył czasu widzenia. Pójdę przodem, żeby pan nie błądził...

Szli korytarzem, w którym w regularnych odstępach czerniały okute, szczelnie zamknięte drzwi. We wszystkich były spuszczone zasuwki małych otworów, „judaszami" zwanych. Ze sklepionego sufitu sączyło się na otynkowane biało mury skąpe światło lampek. Kroki idących dudniały stukotliwem echem w ciszy ciężkiej jak głaz. Zeszli po dwóch, trzech stopniach w dół, skręcili. Przed jedną z cel stało dwóch strażników z nasadzonemi na broń bagnetami, na zmianę patrząc bez przerwy w odsłonięty otwór judasza.

Dalszy ciąg nastąpi.

WŁADYSŁAW DE BONDY.

W Butyrskiem więzieniu.

Noc w ciszy majestacie,
Dozorców głuche w dali kroki,
Więźni na pryczach wśród pomroki
Śpią postacie.
Mrozu na oknach i na kracie
Cień szeroki...

Noc w ciszy majestacie...

Blask płynie od piecyka,
Nad nim bezsenni dwaj więźniowie
Wizje przeszłości, myśli mrowie,
Płomień syka.
Piosnki przebrzmiałe gra muzyka
W ciszy mowie...

Blask płynie od piecyka...

Gdzież mrocznej kres żeglugi?
Oto wśród mętów i zgnilizny
Dzieci zwycięzkiej swej Ojczyzny
Szereg długi.
Niczem dla Kraju ich zasługi
Rany, blizny...

Gdzież mrocznej kres żeglugi?...

Te noce są jak lata
Nadziei, rachub przetarg srogi,
Wierzeń najświętszych nekrologi
Wiatr, utrata...
Hańbą i wstydem dławi krata —
Niema drogi...

Te noce są jak lata...

Swit blady okna bieli
Wichrowe łkają w mgłach poświsty
Czas przyszedł sprawdzań rannej listy
Więźniów w celi...
Tam w Kraju o nas zapomnieli...
Los ciernisty...

Świt blady okna bieli...

Więzienie Butyrskie Moskwa 28/II 1921 r.

FRYDERYK BRUTEL.

Wytwórnia sobowtórów.

Przekład z francuskiego przez H. J. P.

Ta fabryka istnieje w Ameryce i obsługuje cały świat. Dyrektorem jej jest pan J. C. Turkey, szanowny dżentelmen, który ją przed kilku laty założył i umiał nadać tej doniosłego znaczenia instytucji energiczny i umiejętny kierunek, jakiego potrzebował rozwój tak znakomitego przedsiębiorstwa.

Wytwory tej niezrównanej firmy są wprost doskonałe i można powiedzieć, że urągają wszelkiemu współzawodnictwu.

Nic lepszego w tym rodzaju stworzyć niesposób.

Pan Turkey doprowadził swe wyroby do ostatecznych granic doskonałości. Znakomici wykonawcy, których współpracownictwo zdobywa sobie na wagę złota, odtwarzają osobistości najtrudniejsze, mogą obracać się w okolicznościach najdrażliwszych i najbardziej złożonych, bez obawy najlżejszego uchybienia prawdzie.

Umieją dublować ludzi najbardziej znanych, jednostki najoryginalniejsze i najprzeciętniejsze, z taką dokładnością, że najbliżsi przyjaciele i najczujniejsi wrogowie nie zdołają odróżnić pierwowzoru od kopji.

* * *

Pan Turkey jest mężczyzną w sile wieku, dystyngowanym, flegmatycznym, gładko wygolonym.

— Nie mogę tego panu ściśle oznaczyć—mówił mi, odpowiadając na jedno pytanie (siedzieliśmy w jego gabinecie przy cygarach i whisky z wodą sodową), doprawdy nie potrafię... Pierwszą myśl powziąłem bardzo dawno. Błysnęło mi pierwotnie, gdym widział, ile handlujący zarabiają, sprzedając przedmioty podrabiane za prawdziwe, począwszy od dzieł sztuki, a kończąc na relikwjach.

Wziąłem się tedy do tego. Sprzedawałem wszystko, upewniam pana, i same tylko falsyfikaty. Sprzedałem niezliczoną ilość pamiątek historycznych i przekonałem się, że najbardziej poszukiwanym bywa Napoleon. Przehandlowałem kosteczka po kosteczce do wszystkich cudownych miejsc w Europie nie wiem ile szkieletów jednego i tego samego świętego, który był bardzo w modzie przed dziesięciu laty. Święty... doprawdy, zapomniałem jak mu było na imię. Ale dopiero zajmując się osobliwościami zoologicznemi znalazłem prawdziwą drogę. Bo też traf mi przysłużył, żem się natknął na Streeta. To był zdumiewający człowiek. Nie było drugiego równego mu podrabiacza zwierząt na świecie. Zrobił panu ptaka, mając jakieś trzy piórka i kawałek dzioba.

Pewnego razu zgłosił się do mnie zbieracz, poszukujący motyla, którego mu brakowało, niejakiego *bambyxa* i gotów był zapłacić za niego nieprawdopodobne sumy, ponieważ nikt go nie posiada.

Motyl ten znajduje się jakoby tylko na Borneo, w samej głębi wyspy, tam gdzie wciąż grasuje cholera i żółta febra i gdzie Dayakowie grają w kręgle głowami eksploratorów.

Oczywiście podjąłem się dostarczyć tego motyla. Mój zbieracz nie troszczył się o koszta, idę tedy do Streeta.

— Niema po co jechać na Borneo — powiedział mi — bo by się stamtąd nie wróciło. A gdyby się nawet wróciło, to bez motyla, bo ten nie istnieje. Ale ja go sfabrykuję—dodał z zimną krwią.

— Jakto! Sfabrykujesz go pan? zapytałem.

— Nie inaczej. Fabrykowałem wiele innych rzeczy. Robiłem dla muzeum zwierzęta, które nigdy nie istniały. Mają nazwę łacińską i wystawione są za witrynami. To sprawia bardzo dobry efekt: bo, uważa pan, to są jakoby unikaty. Fabrykowałem wszelkiego rodzaju osobliwości; ptaki, czworonogi, jajka, co kto chce. Nikt się tego nie domyśla i to mi sprawia przyjemność.

Gdybym miał czas, sfabrykowałbym podług naukowych opisów wielkiego antropoida z archipelagu malajskiego. Gdybym miał czas, fabrykowałbym ludzi. A co się tycze tego motyla... to głupstwo. Zostaw mi pan jego opis. Pański zbieracz będzie zadowolony. Za pół roku dostarczysz mu pan *bombyx'a* — trzeba przecież odliczyć czas na podróż i odpowiednie koszta.

Dotrzymał mi słowa; zrobił motyla.

Wkrótce potem umarł, bo się nadto napijał; ale jego myśl fabrykowania ludzi utkwiła mi w głowie... postanowiłem spróbować na swój sposób.

— Jakto — rzekłem. — Ludzi?

— Tak — powiedział pan Turkey — ludzi... ludzi podrabianych. O!.. nie tak, jak to zrozumiał Street. Nie fabrykowałem ludzi z kawałków innych ludzi, jak to się podobno praktykowało w wiekach średnich. Ani też nie wyrabiałem ich sposobem maszynowym, aczkolwiek... ale mniejsza. Nie. Założyłem wytwórnię ludzi podwójnych, żywych.

To rzecz prosta. Przypominasz pan sobie powieść autora francuskiego Juljusza Verne... zapomniałem tytułu; ale to się dzieje w Ameryce, podczas wojny o zniesienie niewolnictwa. Jest tam dwóch braci nadzwyczaj do siebie podobnych, którzy korzystają z tego, aby popełnić wszelkiego rodzaju zbrodnie, i zawsze, wzajemnie dostarczają sobie niezbite alibi...

Otóż to mnie potrosze naprowadziło na myśl, a utwierdziłem się w niej, słuchając narzekań ludzi wybitnych, nie mających nigdy chwili spokoju. Zastanowiłem się nad korzyściami, jakie stąd dałoby się osiągnąć i zabrałem się do roboty. Upewniam pana, że była ona trudna i długa. Trzeba było znacznego nakładu, aby taką rzecz poważnie zaprowadzić, aby sobie wytworzyć przyzwoitą popularność, aby odpowiedzieć zadawalniająco pierwszym zapotrzebowaniom... A zwłaszcza trzeba było postarać się o współpracowników uczciwych, pewnych, oddanych i inteligentnych...

Klijentela wyrobiła się bardzo szybko i że tak powiem sama przez się. Ludzie są tak obarczeni światowemi wymaganiami, którym z tych lub innych względów zadosyć uczynić muszą, że większość przyjęła skwapliwie oferty moich agentów.

Z początku ci i owi okazywali pewne niedowierzanie, ale gdy się przekonano, do jakiego stopnia moi pracownicy byli godni zaufania, gdy różni panowie spotykali w towarzystwie swoich przyjaciół, siadających obok nich, rozmawiających o rzeczach potocznych, i gdy ani na chwilę nie przyszło im do głowy, że to były sobowtóry, dostarczone przeze mnie, wtedy oczywiście zjednywałem ich sobie całkowicie. A, ponieważ wszyscy moi pracownicy są gorliwi, dyskretni i delikatni, jak wszyscy moi klijenci, rekrutujący się zresztą z najwykwintniejszych sfer towarzyskich i we własnym in-

teresie zachowujących w tajemnicy nasze stosunki, przedsiębiorstwo, oczywiście, kwitnie...

— Czy mogę pana zapytać, jak się bierzesz do dzieła?—zapytałem.

— Jak? To bardzo proste. Oto naprzykład nowy klijent zwraca się do mnie z żądaniem swego sobowtóra. Ma się rozumieć, jest to człowiek bardzo bogaty i wogóle, człowiek z przyszłością. Pojmuje pan. W ten lub inny sposób stanął na świeczniku. Musi więc bywać, pokazywać się, uczęszczać na zebrania towarzyskie, na proszone obiady. To podobno jedyny sposób podtrzymania sławy i rozgłosu... Czy to jest prawdą, czy nie, nie wiem... ale ludzie w to wierzą. Oczywiście cierpi na tem praca, a także zdrowie, z powodu ciągłego zmęczenia. Wtedy to trzeba pomyśleć o swoim sobowtórze.

Nowa wielkość zwraca się do mnie, a ja zapoznaję go z jednym z moich artystów, który jest mniej więcej tego samego wzrostu i postawy. Po paru miesiącach mój współpracownik obcując ciągle z moim klijentem przyswaja sobie potrochu jego zewnętrzność, jego obejście, ruchy, przyzwyczajenie. Oczywiście ubiera się tak samo. Przedstawia go zupełnie wystarczająco na urzędowych uroczystościach, na ślubach, pogrzebach, a nawet na oficjalnych obiadach, podczas gdy prototyp pracuje sobie spokojnie w swoim gabinecie w pantoflach i szlafroku...

Oczywiście tam, gdzie wchodzą w grę interesa osobiste, wizyty poufne, to nie może wystarczyć! Wierzaj mi pan, że możemy zastąpić każdego; ale to wymaga ogromnie wiele czasu i pieniędzy, aby osiągnąć całkowicie zadawalniający skutek. Ja osiągałem go zawsze i nigdy niepowodzenie nie przyćmiło mojej chwały. Mam dawnych klijentów posiadających każdy *sobowtóra*, który pracuje wyłącznie dla nich i który do takiego stopnia wlazł, że tak powiem, w ich skórę, że ja rozróżnić ich nie mogę. Osiągnąłem zdumiewające rezultaty; upewniam pana.

— Ale, jednakże, w rozmowie...

— Aha — rzekł Turkey — masz pan na myśli głos? Tak, to najtrudniejsze; ale pracując dochodzi się do zupełnego naśladownictwa. Urabia się sobie mowę jak twarz...

— Nie to chciałem powiedzieć— przerwałem — miałem na myśli dowcip, wykształcenie i ten wdzięk swoisty, którego *sobowtóry* nie mogą mieć...

— Tak! ponowił Turkey — to możliwe, ale nikt się dotąd na tem nie poznał. Gdy ktoś ma opinję dowcipnego, to wszystko, co powie, wydawać się będzie dowcipnem...

Teraz, masz już pan pojęcie o naszem przedsiębiorstwie, nieprawdaż? Widzisz pan, że możemy zaspokoić wszelkie zapotrzebowania. Dostarczamy wszystkiego: uczonych, artystów, literatów. Powiem panu w sekrecie, że dostarczaliśmy *sobowtórów* mężom, którym się żony sprzykrzyły, lub którzy chcieli sobie trochę pobomblować, nie przestając dawać żonom dowodów niezmiennego przywiązania i wierności. Dostarczaliśmy *sobowtórów*— i tych się bardzo drogo opłaca — pierwszym światowym uwodzicielom, których rola Don Jouanów zaczynała nużyć i którzy chcieli sobie odpocząć, nie tracąc na swojej sławie...

I nawet w tych drażliwych sytuacjach nie popełniliśmy nigdy żadnej omyłki, żadnego nieporozumienia, żadnej niedyskrecji. Mówię panu, że nasi agenci to ludzie wyżsi. Pomyśl pan, że mamy zaszczyt obsługiwać głowy koronowane, naczelników państwa...

— Co? rzekłem.

— Nieinaczej—odpowiedział. — Czy pan sądzisz, że król angielski naprawdę pojechał do Francji podczas swojej oficjalnej podróży w roku 1903, lub przynajmniej, że był wszędzie, gdzie go wożono... A myślisz pan, że w Rosji... Widzisz pan, bywają monarchowie, których uważa się za pomordowanych, a którzy żyją spokojnie w jakiej ładnej ustroni... Ale dajmy temu pokój, to dotyka tajemnic dyplomatycznych... Wiedz pan tylko, że obsługujemy cały świat, i że nie wie się nigdy, z kim się mówi...

— A nie spotkałeś się pan nigdy z przeniewierstwem, z zakusami konkurencji wśród swoich współpracowników? — zapytałem.

— Raz — odowiedział — jeden jedyny... Pewien zarozumialec... Ale różne nieszczęścia stanęły mu na przeszkodzie. Był to jeden z moich dawnych szefów obsługi i czyn jego stanowił zdradę w stosunku do mnie... Chciał założyć dom konkurencyjny, posługując się memi sposobami. Ale sam się w to wdałem. Znałem go doskonale, uważa pan. Uwięziono go za pewną zbrodnię. Dwadzieścia osób widziało, jak się jej dopuścił. Napróżno dowodził, że tego dnia był w podróży... Wszyscy świadczyli przeciw niemu. Skazano go też.

— Na co? — spytałem trochę wzruszony.

— Pan wie... elektryczność... To się tak u nas robi... Poza tem nie było nigdy poważniejszych wypadków.

— I żaden z pana współpracowników nie powziął nigdy zamiaru przywłaszczenia sobie na dobre osobistości, którą dublował?—zapytałem.

— Nigdy, o ile wiem — odrzekł pan Turkey—aczkolwiek paru z naszych agentów, operujących na stałym lądzie, nie powróciło i nie piszą do nas... Zauważono pewną, wyraźną zmianę w polityce jednego z naczelników państwa... i jednego wpływowego ministra... Ale to nikogo nie obchodzi. Co do nas, otrzymujemy w dalszym ciągu regularnie nasze honorarja... Zatem wszystko dobrze. Ale widzę, że pan chcesz odejść. Dziękuję za odwiedziny pańskie i dowidzenia...

— Dowidzenia — rzekłem.

— Dowidzenia — powtórzył za mną głos zupełnie do mego podobny.

Odwróciłem się zdumiony. Zrazu wydało mi się, że we drzwiach musi być lustro, zobaczyłem bowiem idącego na moje spotkanie zupełnie podobnego do mnie osobnika. O ile znałem siebie ze zwierciadła, ujrzałem całą moją postać naprzeciwko siebie. Zjawisko ukłoniło mi się ze słodkim uśmiechem i przeszło...

— Pan wybaczy — rzekł dobrodusznie pan Turkey—pan wybaczy niedokładność tej podobizny. Chciałem panu dać małą próbkę tego, do czego jesteśmy zdolni. Ale miałem pod ręką miernego pracownika i czasu było brak.

Pożegnałem się.

Klaudyusz Anet. Powieść.

ROZKIEŁZNANE MOCE.

24) Przekład z francuskiego przez H. J. P.

W kilka dni potem zaszedł pomiędzy nim a Lydją fakt, który mu się wydał niepojętym. A w dodatku był tak nagłym, że wstrząsnął nim do głębi.

Wyszli za sprawunkami na Newski i przechodząc koło sklepu z zabawkami wstąpili tam. Sawinski chciał kupić podarunki dla dzieci na Nowy Rok. Dotychczas Lydja była bardzo wesołą i serdeczną. W sklepie zauważył, że stała się milczącą. Sawinski dość długo wybierał zabawki i przez cały ten czas Lydja nie odzywała się. Gdy się zapytywał, odpowiadała półsłówkami i Sawinski w żaden sposób nie mógł zrozumieć przyczyny tej nagłej zmiany.

Traf zrządził, że Lord Douglas wszedł do sklepu. Lydja powitała go nadzwyczaj uprzejmie; on zaś śmiał się i żartował jak zwykle. Zainteresował się zabawkami, jakie Sawinski oglądał. Wypytywał go o żonę i winszował mu, że ją osiedlił w Finlandji, pomimo, że Piotrogród był w tej chwili tak bardzo ciekawem miastem. Prosił też, by Sawinski załączył żonie jego uszanowanie, skoro ją zobaczy.

Sawinski podziękował mu i rzekł:

— Spędzę z nimi Nowy Rok. Jadę pojutrze.

Poczem zajął się znów oglądaniem zabawek, których znoszono mu całe stosy.

W chwilę potem Lydja rzekła na głos do Lorda Douglasa:

— Zechce pan odprowadzić mnie? Już późno, a ja muszę być w domu.

Douglas zgodził się chętnie, zachwycony.

Lydja przystąpiła do Sawinskiego, podała mu rękę i rzekła:

— Do widzenia, Mikołaju Władymirowiczu. Przykro mi, że muszę odejść, ale już i tak spóźniłam się. Zobaczymy się wkrótce, nieprawdaż?

Wymówiła te słowa tonem tak światowym i konwencjonalnym, jakgdyby je powiedziała Natalja Szupow-Karamin i wyszła, zanim Sawinski, zdumiony do najwyższego stopnia tak niespodziewanym zwrotem, zdołał ją zatrzymać. Wybełkotał tylko parę banalnych zdań. Ale Lydja już wyszła ze sklepu, zostawiając go osłupiałego przed szeregiem lalek rosyjskich o jaskrawo pomalowanych policzkach, spoglądających na niego swemi nieruchomemi oczami.

Cóż się stało Lydji? Czem wytłumaczyć ten nagły przystęp złego humoru? Jak pogodzić to, co mu tak niedawno mówiła, z takiem postąpieniem względem Lorda Douglasa? I nic mu przecież nie wspominała o konieczności wcześniejszego powrotu do domu.

Sawinski gubił się w domysłach. W końcu musiał sobie powiedzieć, że nie jest w stanie zrozumieć tej dziewczęcej duszy. Zresztą co on wiedział o kobietach wogóle w gruncie rzeczy? Te długie lata małżeństwa odgrodziły go od nich. Żona jego była naturą prostolinijną, niezdolną do udawania i do wykrętów. Czytał w niej, jak w otwartej książce, nigdy nie miał powodu łamać głowy nad zrozumieniem jej słów i postępków. Prawość jej charakteru, równe usposobienie nie dawały pola żadnym zagadkom. Była naprzód jego żoną i nigdy nie miała należeć do innego mężczyzny, a po drugie była matką jego dzieci. I przeżył u jej boku piętnaście lat w zupełnym spokoju, mając umysł zaprzątnięty wyłącznie interesami na wielką skalę, jak twierdził.

Przedtem od dwudziestego do trzydziestego roku życia miewał luźne przygody miłosne. Był wtedy bardzo pięknym chłopcem i obracał się w kołach towarzyskich tak oddalonych od purytańskich zasad, jak Nowa Anglja od ziem rosyjskich. Odnosił zwycięstwa, z których się nie pysznił, bo go nic nie kosztowały, a gdy przychodziło do zerwania takiego przelotnego stosunku, pozostawało po nim jedynie przyjemne uczucie odzyskanej po paru tygodniach czy miesiącach swobody.

Nie znalazł się nigdy wobec jakichś zawikłanych sytuacji. To też teraz poprostu zgłupiał, natknąwszy się na niepojęty kaprys Lydji. Co należało w tem widzieć? Rozmyślał nad tem długo. Czy obraził ją czem niechcący? Nie, nie miał sobie nic do wyrzucenia w tym względzie. Czy odgadła, że uczucia jego nie były uczuciami przyjaciela, za jakiego się podawał? Ta myśl miała w sobie coś bardzo ponętnego i Sawinski zastanawiał się nad nią długo. Czy poznała w ten sposób władzę, jaką nad nim posiadła i jak każda kobieta chciała jej natychmiast nadużyć? Ale, gdyby ta pierwsza hypoteza była prawdziwą, należałoby postawić drugą, przypuścić, że Lydja była zupełnie inną, niż ta, której obraz ukochany nosił w duszy.

Te sprzeczne myśli kołatały się długo po znękanej głowie Sawinskiego. Zrozumiał tylko jedno, że sam nie potrafi rozwikłać tak trudnego zadania i postanowił przy najbliższej sposobności zapytać Lydję wręcz z tą szczerością, jaka istniała pomiędzy nimi.

Ale rzeczy wzięły taki obrót, że nie mógł jej widzieć przed wyjazdem do Finlandji. Była nieco cierpiącą, powiedziano mu telefonicznie, i musiała leżeć w łóżku. Napisał więc tylko do niej bilecik z noworocznemi życzeniami i z doniesieniem, że wróci 2-go lub 3-go stycznia. Nie otrzymał na to żadnej odpowiedzi. Coprawda nie prosił o nią, ale doznał rozczarowania, że się tak stało.

W wilję Nowego Roku pojechał wcześnie zrana pierwszym pociągiem.

Na granicy wywiązała się nowa trudność. Komisarz bolszewicki oświadczył, że dawne wizy nie były ważne. Należało teraz zaopatrzyć się w wizę z komisarjatu Spraw Zagranicznych, przyłożoną podług szematu, jaki mu wskazał. I znowu Sawinski uczuł, że napróżno chciałby przełamać rozkaz.

Struło go to jednak ogromnie. Wyobrażał sobie bolesny zawód żony i dzieci. Zdawało mu się, że dopuszcza się względem nich zdrady, nie spędzając z nimi Nowego Roku.

Jakiś oficer, pracujący w biurze paszportowem, który należał do dawnej administracji cesarskiej w tym samym zakresie, znał bardzo dobrze Sawinskiego. Korzystając z chwilowej nieobecności komisarza bolszewickiego, którym był jakiś majtek kronsztadzki o dzikiem wejrzeniu, powiedział Sawinskiemu, że jedzie automobilem do Piotrogrodu w sprawach służbowych, i że go chętnie ze sobą zabierze. Odległość była około trzydziestu kilometrów. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, będą w Piotrogrodzie przed południem i może Sawinskiemu uda się dostać wizę w komisarjacie Spraw Zagranicznych i zdążyć jeszcze na pociąg popołudniowy. Zaś dla uniknięcia podejrzliwości naczelnika biura, Sawinski miał czekać trochę dalej na drodze.

Sawinski zostawił rzeczy na komorze celnej i poszedł oczekiwać na automobil.

W kwadrans potem dążyli zwolna przez zaspy śnieżne ku Piotrogrodowi.

Towarzysz Sawinskiego był inteligentnym i miłym człowiekiem. Został na dawnem miejscu, aby nie umrzeć z głodu, a prócz tego mógł oddać niejedną przysługę na granicy dawnym towarzyszom. Zresztą, gdy będzie miał tego dosyć, przejdzie słynny drewniany most, dzielący Finlandję od cesarstwa.

Rozmawiali po francusku, aby ich nie rozumiał żołnierz, prowadzący automobil. Sawinski dowiedział się też nowiny, która go bardzo zajęła. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, oficer posiadał dość ścisłe dane o sile i zamiarach stronnictwa komunistów czerwonych w Finlandji. Nie ulegało wątpliwości, że finlandzcy bolszewicy znaleźli poparcie, pieniądze i broń w Rosji; emisarjusze Lenina i Trockiego krążyli wciąż pomiędzy Helsingforsem a Piotrogrodem, i według pewnych wskazówek, należało oczekiwać w drugiej połowie stycznia zamachu stanu ekstremistów, którzy obalą słaby, burżuazyjny rząd. Oficer nie wątpił o ich powodzeniu.

To dało dużo do myślenia Sawinskiemu. Miał przecież rodzinę w Finlandji. Jakiemże będzie ich bezpieczeństwo, jeżeli czerwoni dojdą do władzy? Czy nie należało wysłać ich zagranicę? Ale czy Sonia zgodzi się jechać bez niego? A przytem miał znaczne kapitały w bankach helsingforskich. Należało je wycofać, bo banki finlandzkie ulegną temu samemu losowi co piotrogrodzkie.

W komisarjacie Spraw Zagranicznych udało mu się spotkać na korytarzu Simeonowa. Ten przyjął go jak najuprzejmiej i zapytał, czem może mu być użytecznym. Sawinski opowiedział mu, że go zatrzymano na granicy finlandzkiej. Simeonow spoważniał natychmiast.

— Nie dajemy już wiz—rzekł.— Zdarzały się ucieczki. Ludzie korzystali z nieporządków biur finlandzkich, gdzie, jak panu wiadomo, mamy swoich agentów, i przekradli się do Szwecji.

— Ależ ja nie mam zamiaru jechać do Szwecji — rzekł Sawinski z żywością.

— Nie wątpię o tem — odpowiedział Simeonow z lekkim uśmiechem. — Jestem przekonany, że pan masz ważne powody, aby nie opuszczać Piotrogrodu.

Umilkł na chwilę i dokończył innym tonem:

— Choćby dlatego, aby w dalszym ciągu widywać się z Lamshofem.

— Wie o wszystkiem, co ja robię — pomyślał Sawinski. — To była aluzja do Lydji w pierwszej części jego powiedzenia.

Zakipiał gniewem. Powściągnął się jednak i rzekł z naleganiem:

— Uprzedzam pana, że nie pojadę do Szwecji. Ale mam bardzo poważne powody, by jechać do Finlandji, gdzie jest moja żona z dziećmi. Mam zamiar wysłać ich do Anglji dla edukacji mego syna i jestem pewny, że pan nie odmówisz mi wizy dla nich.

— Tak — rzekł Simeonow — rozumiem. W danej chwili szkoły angielskie są lepsze od naszych...

Zamyślił się trochę.

— Dam panu wizę, Mikołaju Władymirowiczu, tak, dam ją panu; a jeżeli mi pan przywieziesz pasport swojej żony i dzieci, zobowiązuję się zawizować je na wyjazd z Finlandji. Ale, wszak rozmawiamy tu między sobą, czy przyrzekniesz mi pan, że wrócisz do Piotrogrodu w pierwszych dniach stycznia? Będziemy mieli do pomówienia ze sobą; rozmowa z człowiekiem tej wartości co pan, jest zawsze bardzo cenną dla mnie.

Sawinski, wściekły w duszy, dał żądane przyrzeczenie. Tegoż wieczora był już u swoich i uspokoił Sonię, która zmartwiła się, oczekując go napróżno z rana.

Z wielkim trudem nakłonił ją, by mu dała swój pasport dla zawizowania na wyjazd z Finlandji.

— Nie chcę wyjeżdżać z Finlandji — mówiła Sonia z mocą. — Już i tak dosyć, że zgadzam się nie wracać do Piotrogrodu, aby być przy tobie. Jeżeli mamy jechać, jedźmy razem. Dlaczego nie chcesz tu zostać? Spróbujemy, może nam się uda w Abo.

Sawinski przytoczył na swoje usprawiedliwienie słowo, jakie dał, że wróci do Piotrogrodu. Zresztą stosunki z Simeonowem były mu dostateczną osłoną przeciw wszelkiemu niebezpieczeństwu. A zresztą, w danej chwili, kto mógł wiedzieć, co uczynią Niemcy? Może za miesiąc zajmą Piotrogród i zaprowadzą w nim ład i bezpieczeństwo. Tymczasem, ponieważ położenie w Finlandji mogło lada dzień stać się niebezpiecznem, błagał żonę, by. chociaż ze względu na dzieci, udała się do Stockholmu i tam na niego czekała. Mężczyzna pojedyńczy znajdzie zawsze sposób wydostania się, choćby miał przekraść się przez granicę nocą.

Sonia dała się w końcu przekonać, ale pomimo całego panowania nad sobą nie mogła ukryć smutku.

Drugiego stycznia Sawinski zabrał ją ze sobą do Helsingforsu, gdzie miał się widzieć z bankierami. Załatwił interesa bardzo pomyślnie. Zjedli śniadanie we dwoje w hotelu Kempa. Sonia była poważna i Sawinski napróżno usiłował ją rozweselić. Te ostatnie godziny spędzone z tą, która była wierną towarzyszką jego życia, zaciężyły również na jego usposobieniu. Miał wrócić do Piotrogrodu. Co go tam czeka? Nigdy przyszłość nie przedstawiała się tak niepewnie. Nawet obraz Lydji przesłonił się mgłą. Czy nie należało zostać przy swoich? Nie mógł opędzić się ponurym przeczuciom. A gdy wyjechał nazajutrz, rozstanie było zarówno bolesnem dla obojga małżonków.

* * *

Tymczasem Lydja oczekiwała Sawinskiego. Powinien był wrócić tego dnia, może późno. Mógł być już z powrotem wczoraj. Cóż go zatrzymywało w Finlandji?

Lydja chodziła niespokojnie po pokoju. Chwilami ściągała brwi i zmarszczki zarysowywały się na jej czystem czole. Nie mogła zdecydować się na pójście spać. Wiedziała, że nie zaśnie. Chodziła więc od okna do łóżka i od łóżka do okna.

Nad Petropawłowską twierdzą gwiazdy błyszczały jasno. Taki spokój tam w górze, a tyle zamętu w tej dziewiczej sypialni...

Stanęła wreszcie. Była znużona; byłaby chciała umrzeć. I nagle wyraz jej twarzy zmienił się. Szepnęła:

— Tak, zrobię to!

Oczy jej zabłysły; ruchliwe rysy oblokły się wyrazem tryumfu.

— Zrobię to — powtórzyła raz jeszcze, spuszczając powieki. I odnalazła spokój.

Rozebrała się zwolna, położyła do łóżka i zasnęła natychmiast, bo mimo miotającej nią burzy, miała dopiero ośmnaście lat, a w tym wieku niema troski, której by noc nie ukołysała.
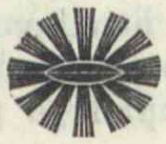
Dalszy ciąg nastąpi.